

opusdei.org

„Kochają mnie do szaleństwa”

Wielkiej miłości, która pokonuje lęk i pomaga przezwyciężyć chorobę, poświęcona jest najnowsza książka Brygidy Grysiak „Kochają mnie do szaleństwa”.

20-11-2015

Gdy Jurek Halski miał mniej niż trzy miesiące, zachorował na raka mózgu, przeszedł kilka operacji i trzy serie chemii. Wbrew wszelkim rokowaniom, po pobycie w hospicjum, który miał być

przypieczętowaniem jego krótkiego życia, chłopiec wyzdrowiał i obecnie przechodzi liczne rehabilitacje i dogania zdrowych rówieśników.

Maria i Kacper Halscy należą do Opus Dei, są małżeństwem od czerwca 2000 roku i mają siedmioro dzieci. Najstarsza córka Magdalena ma prawie 13 lat, druga Zuzanna 10 lat, Karol 8 lat, Konstancja 6, Jerzy niedługo skończy 5 lat, bliźnięta Maurycy i Maria mają półtora roku. W tym wywiadzie z Marią widać, jak duchowość św. Josemaríi Escrivy pomaga im w opiece nad Jurkiem.

– Jakie owoce duchowe przyniosła Waszej rodzinie choroba Jurka?

Jurek urodził się w Sylwestra 2010 roku jako piąte dziecko w rodzinie. Gdy miał 2,5 miesiąca okazało się, że prawą półkulę jego mózgu zniszczył ogromny guz. Rozpoczęła się nasza przygoda ze służbą zdrowia, staliśmy się rodziną szpitalną. Przez te 4 lata

nasze życie się przewartościowało. Synek przeszedł 10 operacji w tym 8 operacji głowy, przyjął 2 cykle chemioterapii, po których przez 4 miesiące był pod opieką Warszawskiego Hospicjum Domowego dla Dzieci. Musieliśmy walczyć o życie Jurka, a potem razem w domu czekać na jego odejście. Być z nim i jednocześnie prowadzić zwyczajne życie rodzinne z pozostałą czwórką dzieci. Potrafiliśmy przeżyć normalnie Wielkanoc po pierwszej chemii, chodzić z Jurkiem podłączonym do pompy na spacer do lasu, czytać mu i opowiadać bajki, iść z jego rodzeństwem do ZOO, odrabiać lekcje, ćwiczyć grę na flecie i oglądać występy na Dzień Matki w szkole, jechać na wakacje rodzinne z dzieckiem, które ma umrzeć. Była to żywa katecheza.

Zresztą Zuzia powtarzała, że jak Jurek zobaczy morze to wyzdrowieje. Potrafiliśmy, bo była łaska, by przez

to przejść. Obcować z chorobą, cierpieniem, śmiercią a jednocześnie żyć bez udawania, żyć naprawdę, żyć pełnią życia jest możliwe tylko z Bogiem. Nie wierzymy w Niebo, nie wierzymy, że to Bóg daje życie: my to wiemy. Dotykaliśmy tego.

Tłumaczyliśmy dzieciom cierpienie, sens życia, Niebo. Musieliśmy to przemodlić i poznać, poświęcić czas na zgłębienie naszej wiary, bo dzieci czują czy jesteśmy prawdziwi w tym co mówimy. Pozbyliśmy się lęku przed śmiercią, jesteśmy blisko osób, które czekały i czekają na Jurka i na nas w Niebie: Antka Bojemskiego, Władka Jurkowskiego, Kasię Herman... Nawiązaliśmy głębokie więzi z ludźmi, którzy przez to przechodzili ale i z rzeszą pomagających nam. Sami nie dalibyśmy rady z radością i pokojem żyć w takiej sytuacji. Jurek dużo wycierpiał, ale ostatecznie wygrał.

We wrześniu 2011 roku został odłączony od morfiny, wypisany z hospicjum i staliśmy się rodziną z niepełnosprawnym dzieckiem. Jurek nie rokował dużych nadziei na rozwój, zakładano, że będzie tylko leżeć i pić mleko z butelki. Miał nie widzieć, a oczy ma takie piękne. Kacper poprosił przyjaciela: namaluj Jurka jak siedzi, bo nigdy siedzieć sam nie będzie. Marek namalował go jak leci na łabędziu i ten lot trwa do tej pory. Owoce duchowe przynosi każdy dzień, każdy dzień przeżywamy w konkretnej intencji: za chorych przyjaciół, za budowę szkoły Żagle, za nowe powołania do Opus Dei i dla całego Kościoła. Św. Josemaría mówił, że Bogu szczególnie bliscy są chorzy i dzieci: my mamy dwa w jednym. Mówił też, że skoro możemy być orłami nie możemy żyć jak kury. Jurek ciężko walczy o swoją sprawność, rodzeństwo bardzo mu pomaga. 11 marca 2014 został starszym bratem...

pary bliźniąt, musi dawać im dobry przykład.

W ostatnim dniu roku, w Sylwestra, Jurek skończy 5 lat. Chodzi samodzielnie, mówi, czyta, korzysta z toalety, jest świetnym kompanem, miło z nim być. Na propozycję zaśpiewania „Wlazł kotek na płotek” odpowiada z uśmiechem: a może „Wlazł piesek na płotek”? Ma poczucie humoru i zawsze mówi: będzie dobrze.

– Jak bardzo wpłynęły narodziny Jurka na Waszą modlitwę?

Przestaliśmy siłować się z Panem Bogiem i bawić w koncert życzeń. Gdy czuwa się przy chorym dziecku dzień i noc przez lata, prowadzi w głowie bilans płynów przez wiele miesięcy, patrzy na jego cierpienie, głód i samotność w oczekiwaniu na operacje i badania (na Oddziale Neurochirurgii CZD nie mogą nocować rodzice), nic nie można

wziąć na siebie ani przynieść ulgi -
pozostaje tylko być i mówić Zdrowaś
Mario. W tych dramatycznych
chwilach jest się blisko krzyża, tuż
obok Matki Bożej, która wszystko wie
i rozumie. Jej oczy w obrazie
Nieustającej Pomocy są jak lornetka,
przez którą można zajrzeć do Nieba.
To nieustanne bycie w obecności
Bożej daje ogromną siłę. Na usta
cisną się akty strzeliste: niech się
spełnia, niech będzie uwielbiona i
błogosławiona ponad wszystko
najsprawiedliwsza wola Twoja albo:
Panie jak długo chcesz, kiedy chcesz,
gdzie chcesz... Nauczyliśmy się tego
od św. Josemaríi.

Towarzyszy nam codzienny różaniec,
Msza Święta, lektura książki, która
pozwala więcej rozumieć o
Tajemnicy Odkupienia i Kościele. W
szpitalach są kaplice z Najświętszym
Sakramentem. Dziwi nas, że są puste.
Gdy dziecko jest na stole
operacyjnym czy nawet przy zwykłej

zmianie warty przy szpitalnym łóżeczku trzeba tam zaglądać, by czerpać siłę, znaleźć pokój i radość.

– Czy pomoc przyjaciół i znajomych ma duże znaczenie dla rodziny opiekującej się chorym dzieckiem?

Pomoc rodziny i szerokiego grona przyjaciół i znajomych ma bardzo duże znaczenie w naszym życiu. Cała rodzina dojrzewa w takiej sytuacji, nasze sprawy są sprawami dziadków i wujków, przechodzimy do współpracy ponad podziałami, a nawet padają wszelkie bastiony w komunikacji międzyludzkiej.

Przedtem Dziadkowie brali dwoje starszych dzieci na maksimum dwie noce. W czasie choroby Jurka czwórka rodzeństwa, w tym mała Konstancja, spędzała w domu dziadków cały tydzień. Babcia Jasia czuwała przy Jurku w szpitalu wiele godzin jednocześnie pocieszając Mamy przy sąsiednich łóżeczkach,

dając dobre rady i służąc pomocą. Potrafiła też całe dni spędzać w ogrodzie, gdzie Jurek leżał nieruchomo przygwożdżony morfiną i tylko sąsiedzi mówili nam później, że nigdy nie słyszeli żeby ktoś tak czule mówił do dziecka. Bratowa zorganizowała całe przyjęcie po Pierwszej Komunii Świętej naszej Madzi.

Lista przyjaciół i znajomych, którzy rozsyłali prośby o modlitwę, od sióstr w Otwocku po klasztory w Irlandii, na Madagaskarze, Dominikanie, jest nieskończona. Jedni prosili drugich o cudowne wody z licznych sanktuariów, relikwie Świętych, koronki różańcowe z beatyfikacji Jana Pawła II – wszystko dla Jurka. Do dziś mamy kilka obrazków z datami Mszy Świętych za Jureczka z różnych miejsc. Gdy w czasie kluczowej, pierwszej operacji guza 21 marca 2011 rano pojechaliśmy spontanicznie z mężem do grobu

Księdza Jerzego modlić się o życie naszego synka wzięliśmy udział w Mszy Świętej o godz. 9.00, której intencją było...jego uzdrowienie – ktoś pomyślał, zamówił...

Środowiskiem bez którego nie wyobrażamy sobie naszej historii są rodziny ze szkół prowadzonych przez Stowarzyszenie Sternik. Tutaj pomoc była bardzo konkretna, pełna mobilizacja. Codziennie przez kilka miesięcy koło 15tej czekał pod furtką ciepły obiad dla Halskich, czasami z deserem. Transport dzieci do szkoły, do szkoły muzycznej, na zajęcia dodatkowe, przyjmowanie dzieci po szkole z noclegiem, na jak długo trzeba, załatwianie zakupów, leków, informacje medyczne, tysiące smsów i maili... Do dziś Jurek ma wielu kibiców, którzy cieszą się każdym małym, nowym osiągnięciem.

– W jaki sposób tłumaczyliście Waszym pozostałym dzieciom sens cierpienia ich braciszka?

Dzieci wyczuwają, czy jesteśmy prawdziwi, czy za słowami idzie życie. Trzeba było przemodlić temat, poczytać. Ksiądz Jan, który bierzmował Jurka przed pierwszą operacją i nałożył mu szkaplerz towarzyszył naszej rodzinie również w Hospicjum. Polecał, by dużo mówić dzieciom o Niebie, wskazywać, że wszyscy tam idziemy, tam chcemy się spotkać, tam na nas czekają, tam jest wspaniale. Tłumaczyliśmy, że Jurek idzie jako pierwszy, ale tam czas inaczej się liczy. Będziemy tęsknić, ale się spotkamy na pewno. Myśleliśmy razem, kto już w Niebie czeka. Rozmarzona Zuzia pytała: czy Maryja ma skrzydła? Myśleliśmy jak tam jest dobrze. Wówczas Madzia wyobraziła sobie, że jest tam mnóstwo trampolin i można skakać bez końca. Myśleliśmy długodystansowo, patrząc na cel, do przodu wiedząc, że warto znieść cierpienie już tu na ziemi, by szybciej tam trafić. Gdy

lekarze z Hospicjum mówili, że to już nie będą tygodnie postanowiliśmy, że na pogrzeb dzieci będą ubrane na niebiesko. Sukienki nawet były już kupione, żeby później nie zawracać sobie tym głowy...

– Co chcielibyście przekazać Rodzinom, którym Pan Bóg - tak jak Wam - powierzył opiekę nad chorym dzieckiem?

Przede wszystkim to, że życie się nie skończyło. Będzie inaczej, ale nie musi być gorzej. Nie ma co studiować przeszłości, doszukiwać się winnych. Nie można też żyć w wyobraźni, myśleć, że miało być inaczej, dlaczego my. Trzeba mocno żyć dniem dzisiejszym, być twórczym. Rodzice chorego dziecka muszą dbać o swoje małżeństwo i rodzinę. Choroba dziecka nie może rozbić ich więzi. Dziecko jest owocem miłości i jest mu ta miłość potrzebna, daje siłę i nadzieję. Trzeba robić też szalone

rzeczy np.: wyjechać z mężem we dwoje na cały dzień na Szlak Orlich Gniazd. Oboje rodzice powinni być równo zaangażowani w opiekę, Tata naprawdę potrafi spędzać noce z niemowlęciem w szpitalu, wsypać 3 miarki mleka na 90 ml ciepłej wody i utulić dziecko do snu. Mieliliśmy to szczęście, że mamy dużą rodzinę i wiedzieliśmy, że rodzeństwo Jurka też potrzebuje Mamy. Planowaliśmy dzień jak Prymas Wyszyński w więzieniu czy św. Josemaría w konsulacie Hondurasu w Madrycie, gdzie się ukrywał podczas wojny domowej. Robiliśmy rzeczy jedna za drugą, spokojnie po kolei. Od świtu do obiadu przy Jurku była Mama. Obchód, strategiczne rozmowy z lekarzami, wierszyki, bajki, zabawy paluszkowe, masażyki, słuchanie muzyki (wiolonczela solo jest najlepsza na ból głowy po zabiegu, np.: cichutko suity Bacha). W tym czasie troje dzieci w przedszkolu i szkole Sternika, mała Konstancja u

przyjaciół przy ul. Westerplatte w Józefowie, Tata w pracy. Potem Babcia Jasia zmienia Mamę przy Jurku, Mama zbiera pozostałe dzieci i spędza czas z nimi pracując w domu. Na noc przy Jurku Babcię Jasię zmienia Tata. I tak w kółko, jak osiołek w kieracie. Pewnego razu pielęgniarka ze łzą w oku powiedziała, że nigdy nie leżało tu dziecko otoczone taką miłością tylu osób.

– My ludzie często buntujemy się wobec własnego i cudzego cierpienia, co poradzilibyście osobom, które przeżywają taki bunt?

Nie przeżywaliśmy buntu, nie wiemy co radzić. Była bezsilność, łzy wściekłości, zwłaszcza gdy dziecko cierpiało niepotrzebnie z winy różnych osób. Ale jest Bóg. To daje spokój, gasi emocje. *Mysterium iniquitatis* będzie tajemnicą do końca świata. Nie ma co zatrzymywać się

na wielkich sprawach, których nie możemy rozwiązać, więc robimy małe rzeczy, na naszą skalę. Nasze codzienne obowiązki staramy się wykonać jak najlepiej i z czystą intencją ofiarujemy je w wielkich intencjach. I choć gardło się ściska jak Jurek płacze na rehabilitacji to wiemy, że tak trzeba. On patrzy na nasze twarze i chce tam widzieć spokój, opanowanie, ale i radość, i światło, że to wszystko ma sens.

Poniżej linki do 2 artykułów prasowych:

- Gość Niedzielny: "Poświęcony bal u Jurka"
- Idziemy: "Jak tam Jureczek?"